

Dyskretny urok zamordyzmu

Free Your Mind

W poprzednim eseju¹ starałem się wykazać, skąd się bierze i dlaczego zachodzi współcześnie proces fikcjonalizacji demokracji. Odniosłem się też do specyficznej sytuacji polskiej państwowości powojennej, państwowości funkcjonującej najpierw w obrębie totalnej fikcji „demokracji socjalistycznej” (rzeczywistość Potiomkina), a następnie przechodzącej fikcyjną transformację ustrojową. Fikcyjną z tych względów, że po poprzednim systemie 1) zachowującą antydemokratyczne i dezintegrujące naszą wspólnotę narodową mechanizmy, 2) zamieniającą monopol władzy na jej oligopol (kilka partii władzy – wchodzących ze sobą w zмовы szumnie nazywane *koalicjami*), 3) multiplikującą instytucje państwowe, 4) modyfikującą (jednopartyjnie sterowany) rynek medialny na podporządkowany oligopolowi - i należałoby dodać: 5) „ukonstytuowaną” na fikcyjnym zestawie wartości². Ale nie próbowałem obszernie odpowiedzieć na pytanie, **dla czego nad Wisłą odbył się taki teatralny spektakl: tchnięcie życia w potiomkinowskie atrapy**. Powiedziałem pokrótce, że „ojcowie demokratyzacji” wykazali się strachem przed autentyczną samorządnością milionów Polaków (przed ich zdolnością do samoorganizowania się i samodzielnego wyłonienia własnej reprezentacji rządzących) – w związku z tym „transformersi” zdecydowali, iż najlepiej i najbezpieczniej będzie *zainstalować* władzę obywatelom *odgórnie*. I tak zostało – prowizorkę utrwalono jako systemową procedurę III RP. Wspomniałem też o fascynacji eks-opozycjonistów instytucjami (peerelowskich) rządzących, które to instytucje „transformersi” przejmowali w 1989 r. z dobrodziejstwem inwentarza (niejednokrotnie zachowując nawet „stan osobowy” w postaci rozmaitych „zasłużonych państwowców”³). To jednak za mało. Nie jest to pełny obraz motywacji „ojców demokratyzacji”.

¹ *Oszustwem może stać się każdy system polityczny* - <http://www.bibula.com/?p=76443>

² Trudno tu nawet mówić o *systemie* wartości, gdyż brakuje koherencji między elementami. Równoprawnie traktuje się wartości uznawane za podstawowe przez katolików, jak i wartości ludzi „niepodzielających tej wiary”, co jest przecież nie do pogodzenia (zwłaszcza gdy „niepodzielający wiary” są wrogami Kościoła i polskiej religijności).

³ Takich „profesjonalistów”, którym „historyczne zmiany ustrojowe”, by tak rzec, „nie przeszkadzały”. Analogicznym zjawiskiem w III RP jest fenomen państwowców, którym „nie przeszkadzają” zmiany „koalicyjne”, a nawet zmiany sztyldów partii (tu tzw. Jasiowie Wędrowniczki). Tak więc, **jak w peerelu był obśmiewany „zawód dyrektor” czy „zawód prezes”, tak w III RP mamy „zawód państwowiec”**. Wspomniane zmiany sztyldów partyjnych (zapoczątkowane wraz z „przemianami ustrojowymi” przez PZPR i ZSL, ale też przez OKP z „sejmu kontraktowego”), za którymi to (i zmianami, i sztyldami) kryją się od lat wciąż te same środowiska, to dodatkowy asumpt do mówienia o fikcyjności i fasadowości „demokratyzacji” w Polsce – etykiety się zmieniają, partie władzy pozostają.

I. Pod urokiem zamordyzmu (zagadnienia wstępne)

Do pełnego obrazu brakuje mniej lub bardziej skrywanego przez „ojców demokracji” *zauroczenia zamordyzmem*. Jeśli bowiem dokonuje się przeformułowania (dawnego) systemu totalitarnego w ustrój niedemokratyczny (tu: oligarchię), to wyjaśnić można to wyłącznie swoistym zafascynowaniem („reformatorów”) **sposobem sprawowania władzy polegającym na wymuszaniu i przymuszaniu obywateli (rządzonych) do respektowania oraz wykonywania takich lub innych rozwiązań wprowadzanych przez rządzących**. W przypadku komunizmu zamordyzm ma z oczywistych względów charakter totalny, bo 1) bezpośredni – „siły porządkowe” mogą się pojawić po prostu w domu obywatela i „wywlec go za wszarz”, jeśli stawia opór wobec maszyny ludowego państwa, ale też 2) pośredni, wzmocniony naciskiem opresyjnych instytucji (manifestującym omnipotencję czerwonej władzy). „Transformacja” zmniejsza zaś skalę ucisku⁴. Rządzący pozostawiają sobie do dyspozycji (w ramach kontroli sprawowanej nad obywatelami) od samego początku „demokracji” zamordyzm pośredni, stosowany za pomocą rozmaitych urzędów, regulacji, systemu podatkowego i bankowego, niskich płac (przy nieustannie rosnących kosztach życia), pauperyzacji wielu zawodów itp. Inaczej gigantyczna maszyna biurokratyczna nie byłaby w stanie w odnowionych realiach systemowych działać, zapewniając tyłu *państwowcom* wikt, opierunek i dobrą zabawę za pieniądze podatników. Można ująć obrazowo, że o ile ikoną komunizmu jest sowiecki bucior czy – w przypadku ludowo-polskim: zomowska pałka (przypominająca obywatelowi, kogo on „ma się słuchać”) – o tyle symbolem III RP jest windykator⁵, osobnik ściągający haracz od obywatela – oczywiście *pro publico bono*. Nie tylko jednak windykator (komornik lub inny poborca) służy do „dyscyplinowania” obywatela – wspiera tego pierwszego również „człowiek mediów”, tj. ktoś, komu „reformatorska” władza powierza odpowiedzialną funkcję *bronienia* jej przed rządzonymi⁶. Zwłaszcza tymi, co nie dojrżeli do demokracji.

„Demokracja komunizmu” musi zmniejszać skalę ucisku (z zamordyzmu bezpośredniego na pośredni), gdyż tylko to zapewnia rządzącym „skuteczność reformowania”. Gdyby zamordyzm pozostawał na poziomie z czasów „dyktatury proletariatu”, to obywatele mogliby zacząć coraz gwałtowniej (tj. tak jak za *ancien regime’u*) protestować, dążąc do obalenia zmodyfikowanego systemu⁷. Rzecz jasna, w III RP także, jak za „dawnych czasów”, pojawiają się - średnio co parę lat - uliczne protesty, lecz rządzący traktują je z beztróską i lekceważeniem jako, powiedzmy, naturalną kolej rzeczy w dobie „demokracji i wolności słowa”; coś tak naturalnego jak przystawione „wyszumienie się” młodzieży. Tak więc jak młodzi muszą się wyszumieć, tak i niektórzy obywatele czasem wyszumienia się potrzebują – tłumaczą sobie „problem” partii władzy i „liderzy opinii” w zaprzyjaźnionych mediach. Ale tym samym **dla rządzących te protesty nie są (i nie mogą być) wyrazem poważnych niepokojów społecznych** – tak poważnych, by partia władzy skupiona w oligopolu poważnie się zaniepokoiła o swój los (bo i nie o los podatników⁸). Natomiast to, że na

⁴ Co przez partię władzy i przytakujących im inżynierów dusz nazywane jest *odzyskiwaniem wolności*.

⁵ *Państwowiec* od „rekietu”, można by rzec.

⁶ Ludzie mediów są współcześnie ludźmi władzy, po prostu – szczególnie w Polsce.

⁷ I nie daj Boże, „palić komitety” jakieś. Czy ktoś jeszcze pamięta, jak „wszystko” się zaczynało w 1989 r. od „komitetów obywatelskich”? Jak już wtedy krztałi się w nich *państwowcy*, mimo że jeszcze *nie* wybrani nawet w „kontraktowych wyborach”, ale już poniekąd *wybrani przez Historię*?

⁸ Podatnicy są niezbędni do finansowania *państwowców* oraz do „właściwego wybierania” – tj. takiego „niemarnującego głosów”.

przeźreni ostatniego ćwierćwiecza nie doszło nad Wisłą do protestów *antysystemowych* w takiej skali, by mogły wywołać efekt *systemowy* (a nie być jedynie wyrazem frustracji/bezradności tych czy innych grup zawodowych, społecznych itd.), czyli prowadzić do rzeczywistego (nie fikcyjnego) przeformułowania obecnej polskiej państwowości – to nieklamana zasługa tych kilku partii władzy⁹. One bardzo sprawnie od początków „transformacji” *dzielą i rządzą*, doprowadzając (tak jak monopartia władzy za komunizmu) do głębokich podziałów wewnątrz polskiej wspólnoty narodowej, tak, że (partie te) *uniemożliwiają* rozlanie się fali obywatelskiego niezadowolenia na obszar całej tej wspólnoty. Jest to majstersztyk socjotechniki¹⁰.

Rządzący (*transformers*) - od początku „demokratyzacji” - kanalizują nastroje społeczne na trzy podstawowe sposoby. Po pierwsze (zgodnie z maksymą *divide et impera*), z rozmysłem wzniecają konflikty wewnątrznarodowe, *obwiniając* jedne grupy Polaków za niepowodzenia lub niedostatki bytowe innych grup (problemy pacjentów to wina lekarzy, problemy nauczycieli to wina górników itp.)¹¹. Po drugie, zwykle protesty uliczne są organizowane przez jedną partię władzy przeciwko/na złość drugiej (lub koalicji innych partii władzy). Z tego wniosek, że **partie te potrafią dyrygować niezadowolonymi obywatelami, kierując ich gniew nie na oligarchię jako system, a na konkurentów politycznych**. Dowodem na to jest stosowany zgodnie przez te partie (gdy przechodzą do opozycji) „stary numer, który wielokrotnie się sprawdza”, tj. nawoływanie obywateli: *dajcie nam władzę, a będzie lepiej*. Większość protestów (z ostatnich 25 lat) sprowadza się przecież do postulatu wymiany jednej ekipy rządzących na inną. W tym zaś protesty te (paradoksalnie) przypominają czasy peerelowskie, gdy nieustannie walczyło się z „wypaczeniami” poprzez... zmiany ekip. System nie był „taki zły”, tylko ludzie niewłaściwi „na górze”. Rozwiązanie problemów znajdowało się więc w zasięgu ręki: wystarczyło zamienić jedną (zamordystyczną) ekipę na drugą. I kołowrót trwał dalej, gdyż gniew obywateli można było w komunizmie nieco łagodzić metodami „odwilży systemowej”, tzn. stopniowego popuszczania (rządzonym) smyczy¹². I w III RP przeżywamy to samo: system nie „taki zły”, tylko niewłaściwi rządzący u steru. Wystarczy zmienić ekipę i statek „transformacji” wypływa na szerokie wody powszechnego dobrobytu – przynajmniej do momentu, gdy się nie okazuje, że znów zatrzymał się na mieliźnie, a więc że trzeba ponownej zmiany „na górze”.

⁹ Wczesne protesty przeciwko partiom władzy tłumaczono jako wyraz „tęsknoty za komunizmem”, co dodatkowo świadczy o przemyślności „ojców demokratyzacji” – natychmiast bowiem w obliczu „historycznych przemian” największym problemem dla „reformatorów” okazali się oporni i nierozumni obywatele (coś jak *element kontrrewolucyjny* za Polski Ludowej).

¹⁰ Ale też było się od kogo uczyć, wszak **państwowcy zasłużeni dla ancien regime’u stanęli u boku „przedstawicieli strony społecznej” nierzadko w roli doradców**, ekspertów, znawców zarządzania.

¹¹ Jest to o tyle racjonalne (z punktu widzenia rządzących) rozwiązanie, że zachowuje pewien stały poziom społecznego antagonizmu (ogniska konfliktów), który nie pozwala *jednoczyć się* różnym grupom zawodowym przeciwko całej „pookrągłostołowej” oligarchii. W peerelu stosowano podobną metodę, napuszczając studentów na robotników (i vice versa), „uczciwie pracujących” na strajkujących itp.

¹² Oczywiście do czasu, czyli **do grudnia roku 1981, gdy się okazało, że dalej już smyczy popuścić się nie da, więc trzeba znów obywateli wziąć „za pysk” – po wojskowemu**. Zwróćmy jednak uwagę, jak niewiele czasu upływa między makabrycznym, iście sowieckim, schyłkiem roku ’81 a „radosną wiosną” ’89. To raptem zaledwie osiem lat – pomijając już te „wiosenne jaskółki” z pierwszej połowy lat 80., kiedy zaczęły się nieśmiało zrazu, a potem coraz poważniejsze, „ciche rozmowy” wybranych „przedstawicieli” (*dwóch* układających się potem przy „okrągłym stole” stron).

Po trzecie, partie władzy, tym niezadowolonym obywatelom, do których „nie dociera” (mimo że media latami to wałkują podczas „debat antenowych”), że podczas „reformowania” trzeba ponosić „koszty reform”, konsekwentnie podsuwają (rządzonym) ofertę nie do odrzucenia, pokazując *drzwi*. Jak się komuś „transformacja” nie podoba, to *won*. Takie - dla sfrustrowanych rodaków - wakacje *last minute* ze strony państwowców (choć ci ostatni nie pokrywają kosztów wyjazdu). Emigrowanie obywateli (niedojrzałych do demokracji) to tylko pozorne zwycięstwo obu stron. Ci, co nie są w stanie wytrzymać ciśnienia nowej systemowej opresji¹³, wyjeżdżają, częstokroć z rodzinami, osiedlając się za granicą i sądząc, że w ten sposób „wychodzą na swoje” – zapominając, że jako ludzie wartościowi, operatywni, poszukujący egzystencjalnej normalności, przydaliby się i są potrzebni we własnej ojczyźnie. Rządzącym spada kamień z serca, gdyż wraz ze wzrostem ilości emigrantów z Polski, zmniejsza się wydatnie prawdopodobieństwo pojawienia się protestów *antysystemowych* mogących zagrozić oligopolowi partii władzy. Innymi słowy, **im mniej ambitnych Polaków w Polsce, tym trwalszy robi się oligarchiczny system „pokrągłostołowy”**. Może on wytrwać nawet następne 25 lat¹⁴, w czym pobije rekord nadwiślańskiego komunizmu, który, jeślibyśmy liczyli od 1945 r. i wzięli na serio cezurę 1989 roku, funkcjonował 44 lata (choć zrazu obliczony był na „wieczność”¹⁵). Im mniej jednak naszych rodaków w naszym kraju, tym słabsza robi się polska wspólnota narodowa. Tym państwowcy się akurat nie przejmują. Nie ich broszka.

Na czym jednak polega *dyskretny urok* tego zamordyzmu? Na tym samym, na czym polega odwieczny urok władzy. Rządzenie *wciąga* – jak kasyno hazardzistę. „Ojcowie demokracji” ewidentnie *dążyli* do zajęcia stanowisk przywódczych przez lata „bycia/liderowania w opozycji” (tudzież osławionego „spania na styropianie”), *chcieli rządzić* i w końcu dopięli swego na drodze „okrągłostołowego paktu” powołującego oligarchię (zamiast obiecywanej obywatelom demokracji). **Paktu, który stał się przecież ważniejszy dla „opozycjonistów” niż zobowiązania wobec polskiej wspólnoty narodowej.** Ta sprawa wymaga wyjątkowego podkreślenia, gdyż wielokrotnie – nie tylko u zarania „reform ustrojowych”, ale i w latach późniejszych (w „dyskusjach, podsumowaniach i reminiscencjach”) *ludzie opozycji* twierdzili, że decyzje przez nich podejmowane wiązały się z wypełnianiem zobowiązań podjętych/podpisanych przy „okrągłym stole” – zobowiązań wobec „strony rządowej”. *Umów się dotrzymuje* – powiadali zgodnie, dowodząc, jakimi dżentelmenami i dyplomataami się okazali w 1989 r. i później. W ten jednak sposób wszelako *ludzie opozycji* czynili (i czynią do dziś) te właśnie *chwilowe nieformalne zobowiązania* (z *niedemokratycznym*, uzurpatorskim środowiskiem komunistycznej władzy) właśnie *ważniejszymi* od tych dłużejletnich zobowiązań, jakie zaciągnęli wobec milionów Polaków, którzy – jak ująłem w pierwszym eseju – *pozwolili* tym „umawiającym się stronom” na pewien „układ”. Pozwolili, sądząc, że będzie to układ *taktyczny*, a nie *deal* początkujący oligarchię jako kilkupartynny system niedemokratycznej władzy.

¹³ Której to opresji po „zdemokratyzowaniu komunizmu” miało już nie być.

¹⁴ Co zapewnia partiom władzy sposób ich stałego finansowania z budżetu państwa, a więc z pieniędzy wypracowywanych przez obywateli. Ten mechanizm świadczy, że **partie te potrafią znakomicie zadbać o swój interes i myśleć dalekosiężnie, możliwe że na kilkanaście lat do przodu**. Mało kto z tychże partii zakłada scenariusz bankructwa państwa polskiego pod ciężarem biurokratycznej maszyny, dysfunkcyjnych systemów (emerytalnego, zdrowotnego, edukacyjnego etc.) oraz kolosalnego zadłużenia.

¹⁵ A zastępy intelektualistów zapewniały „ciemny lud”, że pozostaje mu jedynie pogodzić się z „dziejową koniecznością” i przywyknąć do pojaltańskiego status quo.

W gruncie rzeczy więc „opozycjoniści” **upodobnili się do swoich peerelewskich poprzedników, dla których władzy „nie było alternatywy”** przez kilkadziesiąt lat. Dla „transformacji” też zrazu „alternatywy” nie było i nie przewidziano takowej na przyszłość. Dla „kontraktowych wyborów” z 1989 r. również nie było żadnej alternatywy, bo i w kontrakcie nie zapisano innego scenariusza. Dla „symbolicznego odkreślenia przeszłości” (niesławnych komunistycznych „sił porządkowych”) także nie było alternatywy (komu można było powierzyć bezpieczeństwo w nowych, niespokojnych czasach, jak nie *ludziom Bezpieczeństwa?*). Dla „zaciskania pasa” nie sposób było znaleźć jakiegokolwiek alternatywy – bo i dla samych „reform” alternatywa nie zaistniała. Ale też dla uwłaszczenia nomenklatury zabrakło jakiegokolwiek alternatywy. Tak jak i dla powstania „kominowych” dysproporcji między zarobkami „beneficjentów przemian” i reszty Polaków – dysproporcji przypominających kontrasty ekonomiczno-społeczne Trzeciego Świata (albo neosowieckiej Rosji). W rezultacie dziś (AD 2014), po 25 latach „transformowania”, nie ma alternatywy dla... długu wewnętrznego¹⁶ i zewnętrznego III RP, co wraz z zadłużeniem wielu zwykłych polskich rodzin, daje prawdziwy bilans i pełny obraz „transformacji”. Wygląda on tak, jakbyśmy przeżyli (nieco dłuższą niż poprzednio) **epokę gierkowską do n-tej potęgi**, kiedy to, niemal jak za króla Sasa, można było przez chwilę pojeść, popić i popuścić pasa. Jak na cywilizacyjny skok kraju „po komunizmie” to pewnie wiele¹⁷, pytanie tylko, czym taki skok może się skończyć.

II. Zamordyzm na mapie drogowej „demokratyzacji komunizmu”

Jeżeli jazda jakimś środkiem lokomocji, np. autobusem miejskim, odbywa się jednokierunkową ulicą, to nic dziwnego, że kierowcy może się nie podobać, gdy ktoś z pasażerów chce jechać wstecz, bo „trasa mu się nie spodobała” lub „się pomylił, wsiadając”. Oczywiście, jeśli kierowca wie, dokąd jedzie, to ma rację, strofując pasażerów chcących zawracać. Gorzej, jeżeli wjechał z nimi w *ślepa* ulicę – i mimo to nie ma zamiaru zmieniać kierunku jazdy. Sam kiedyś przed laty, przemieszczając się autobusem MPK, przeżyłem zabawną przygodę: kierowca się zagapił i wjechał z ludźmi w zupełnie inną ulicę niż wiodła dana trasa (oznaczona takim a nie innym numerem). Zrazu pasażerowie nie zareagowali, lecz po chwili oprzytomnieli i zaczęli się domagać korekty kursu, po czym i kierowca się zorientował, i przepaszając, zamasyście zawrócił, zmieniając kierunek, ale też wchodząc na właściwą trasę. Niestety, **w przypadku „transformacji” jednokierunkową drogę przemian uznano od razu za najwłaściwszy kurs „demokratyzacji”**. Nie było alternatywy. Im bardziej pasażerowie „polskiego busa” domagali się korekty, tym bardziej głusi na ich wezwania okazywali się „kierowcy”, trzymając się twardo kierownicy i obranej trasy, dając głośniej radio (by zagłuszyć krzyki z tyłu), i zapewniając ze złością, że to nie ślepa ulica, a długi tunel, na końcu którego pojawi się światło. Co

¹⁶ Ten przebił ostatnio granicę biliona złotych, co jest podawane jako ciekawostka, a nie alarmujący sygnał: http://wyborcza.biz/biznes/1,100896,16613054,Bilion_zlotych_dlugu_na_liczniku_Balcerowicza.html#BoxBizTx

¹⁷ Szczególnie w kontraście do nędzy Polaków w l. 80. i ówczesnym systemie „reglamentacji”. Na marginesie zauważmy, jak to w III RP z poczuciem cywilizacyjnego tryumfu zestawia się obrazki pustych społemowskich sklepów (najczęściej na biało-czarnych fotografiach), z luksusowymi wnętrzami „pełnych po brzegi” hipermarketów czy „galerii handlowych” pełniących rolę współczesnych świątyń konsumpcji, w których „jest wszystko”. Ma to zestawienie być jednym z koronnych argumentów za tym, **jak daleko odeszliśmy od komunizmu i dowodem na to, że ostatecznie go obaliliśmy**. To, że sieci hipermarketów niekoniecznie są polskie i wywołują efekt w postaci zanikania rodzimego handlu, zaś „galerie” mogą (przypadkowo) należeć do przedstawicieli nomenklatury, to już zagadnienia, nad którymi piewcy „przemian” się nie pochylają. Tak jak nad rosnącą skalą ubóstwa, które „nie może rosnąć”, skoro od lat *żyje się lepiej*.

bardziej spostrzegawczy przedstawiciele tej czy innej partii władzy widzieli światełko w tunelu z dużym czasowym wyprzedzeniem. Oczywiście duszy *państwowca*, który, upojony i rozanielony wizją „transformacji”, przebudowuje rzeczywistość w tempie robotnika z „trójki murarskiej” w bierutowskiej Warszawie. Robota tak pali mu się w rękach, że nawet nie ma on czasu na myślenie, czy ta robota ma sens.

Ale na myślenie zrazu było przecież bardzo dużo czasu. Długie dziesięciolecia powojennego „siedzenia w baraku” (tym najweselszym w obozie) pozwalały „opozycjonistom” na wykuwanie w dyskusjach (także z udziałem środowisk emigracyjnych) formuły *nowego* polskiego państwa – (formuły) na tle przeolbrzymiego bagażu historycznego naszej narodowej wspólnoty, poczynając od Królestwa Polskiego, poprzez okresy zaborów (i powstań narodowych), na II Rzeczpospolitej i jej kontynuacji w postaci struktur Państwa Podziemnego, kończąc. Na tym właśnie tle **kształt normalnego i wzmacniającego polską wspólnotę narodową państwa nie powinien być w żadnym swym aspekcie stanowić modyfikacji peerelu** (jako pseudo-państwowości narzuconej Polakom siłą sowieckiego knuta). Dwa podstawowe - pielęgnowane i chronione przez wieki - polskie ideały narodowe, za które oddawano życie i w obronie których walczono z najeźdźcami, zaborcami, okupantami – ideały wolności obywatelskiej i wolności religijnej – powinny być więc zostać uwzględnione jako nienaruszalny, niekwestionowalny fundament polskiego systemu wartości, na którym można tworzyć instytucje po-reżimowego państwa. Tak się nie stało. Już na starcie „przemian ustrojowych” te ideały zamieniono w dwie *fikcje*. „Ojcowie demokratyzacji” stwierdzili, że *wolność obywatelska, owszem, tak, ale... z polską, sarmacką skłonnością do anarchii, do awanturnictwa, do liberum veto...?* Trzeba to było więc jakoś delikatnie ograniczyć – trochę na zasadzie takiej jak ogrodnik przycina za bardzo rozrastający się żywopłot. Było to ograniczenie zgodne z poglądem niektórych co świątelszych inżynierów dusz i państwowców, który daje się wyrazić w chamskim haśle: *Polak potrzebuje bata*. Wprawdzie „transformacja” nie przewidywała takiego batożenia obywateli jak „demokracja socjalistyczna”, lecz „ojcowie demokratyzacji” uznali, że jakiś *bacik* pozostawiony w zanadrzu, profilaktycznie, nie zaszkodzi. A niektórym rodakom może wyjść na zdrowie. Nic tak bowiem nie przemawia do rozsądku, jak ojcowska ręka wymierzająca sprawiedliwość na odpowiedniej części ciała.

Bacik zresztą dość szybko znalazł się w użyciu w rękach ojcowsko-rządzących, gdyż **wraz z postępującymi „reformami” znaleźli się „awanturnicy” i inne „uliczne warcholstwo” nierozumiejące zachodzących „przemian” i krzyczące np. „zło-dzie-je!”** Nie wiadomo, pod którym adresem, skoro co jedna partia władzy była uczciwsza od drugiej. To zaś, że *bacik* musiał pójść w ruch, utwierdzało zapewne „ojców demokratyzacji”, że jej początek w postaci „35-procentowo wolnych wyborów” był właściwym postawieniem sprawy. Dopiero by się wylało warcholstwo na państwowe posady, gdyby dano mu 100% swobody¹⁸. I podobnie (jak sprawa wolności obywatelskiej) kwestia roli katolickiej większości w nowym społecznym ładzie uległa pewnemu skomplikowaniu i sproblematyzowaniu w

¹⁸ Jeśli się zerknie do „porządku obrad okrągłostołowych”, w których brały udział „zespoły”, „podzespoły” i „grupy robocze” (dotychczasowych i przyszłych *państwowców*) – to **żaden/żadna z nich nie zajmowała się sprawą zdawać by się mogło podstawową: wolności obywatelskiej**. W nawale koniecznych do pilnego omówienia problemów gospodarczych, polityczno-społecznych, związkowych, administracyjnych etc. etc. kwestia ta została jakoś przeoczona.

trakcie „demokratyzacji”. *Wolność religijna tak, tak*, kiwali wyrozumiale głową transformersi, *ale... z polskim fanatyzmem, obskurantyzmem, ludową obrzędowością, nietolerancją, koftuństwem...?* Tak więc polskiego katolicyzmu „na żywioł” nie można było „puścić”. Zaczęły się tedy uczone deliberacje nad tym, „ile właściwie tej religii powinno być” w „nowoczesnym państwie i sferze publicznej”, jak też dyskusje wokół tego, „czy „archaiczne” katolickie fundamenty są niezbędne dla polskiej państwowości”, czy w ten sposób nie wyzwoli się „demonów” sprzed II wojny. Stąd też (wspomniana przeze mnie w pierwszym eseju) wojna z „polskim państwem wyznaniowym” miała zapobiec „homeinizacji”, „iranizacji”, „islamizacji”, „rządom Inkwizycji”, „polowaniom na czarownice”, „pogromom” itp. zagrożeniom ze strony katolików, które od razu przewidzieli wrażliwi i przerażeni nie na żarty intelektualści, niektórzy pamiętający jeszcze złote czasy „towarzystwa krzewienia kultury świeckiej” w ludowej Polsce. Nie ustępowali im w rewolucyjnej czujności i młodzi żurnaliści ze świeżego zaciągu do „wolnych mediów”, obawiający się, że wnet ciemni katolicy zaczną wznosić stopy dla potrzeb swych kapturowych sądów niczym Ku Klux Klan.

Strach przed autentyczną polską samorządnością – oddolną, spontaniczną, niekrępowaną – szedł więc u „ojców demokratyzacji” i wspierających ich inżynierów dusz częstokroć w parze z granicznym z histerią strachem przed katolicką większością „zdolną do wszystkiego”. W ten sposób **Kościół** (i duchowieństwo, i wierni), mimo że przez lata komunistycznego zniewolenia stanowił ostatni bastion polskości oraz przystań pozwalającą przetrwać/dyskutować/spotykać się ze zwykłymi ludźmi wielu opozycjonistom – **naraz okazywał się „głównym problemem przemian ustrojowych”** (jeśli nie **nowym wrogiem społecznym**). Nie czerwoni¹⁹, nie żadne rozliczenie komunistycznych zbrodni, nie skala degradacji cywilizacyjnej polskiego państwa po kilkudziesięciu latach „rządów partii robotniczej”, za którą to degradację ktoś powinien był odpowiedzieć – a katolicka większość, gnębiona wcześniej przez komunistów (nie mówiąc już o prześladowaniach duchowieństwa z procesami pokazowymi, uwięzieniami duchownych oraz ich zabójstwami włącznie). To był *problem*. Tym samym czerwoni okazywali się w „obalaniu reżimu” o wiele poważniejszymi sprzymierzeńcami „opozycjonistów”²⁰ niż się w pierwszych latach „transformacji” wydawało – no bo kogo, jak kogo, ale tych pierwszych do walki z katolicyzmem nie trzeba było zachęcać – ani też nie trzeba było ich tej walki uczyć. I tak pozostało do dziś, gdy walka ta wchodzi w zupełnie nową fazę wraz ze wznoszącą się falą neomarksizmu, który katolicką większość w Polsce widzi jako wroga rozmaitych „prześladowanych mniejszości”. Wroga, którego trzeba „krótko trzymać”.

III. **Może w 1989 r. nie chodziło o aksamitny zamordyzm?**

¹⁹ W gorącej „transformacji” nie dokonano przecież ani zdelegalizowania partii komunistycznej, ani nie wprowadzono choćby zakazu uczestniczenia w życiu publicznym obejmującego ludzi odpowiedzialnych za 1) doprowadzenie Polski do ruiny, wielu Polaków do emigracji lub nędzy, 2) za systematyczne niszczenie (drogą sowytyzacji) polskiej nauki oraz kultury. Nie trzeba było więc długo czekać, jak ci wszyscy *pozostawieni* w tych wszystkich obszarach pogłębią w nich rozpoczęte za komuny procesy destrukcyjne.

²⁰ Ale też na odwrót: „opozycjoniści” stawali ramię w ramię ze starymi zamordystami, potwierdzając w ten sposób przenikliwą tezę G. Orwella (wyrażoną na kartach 1984), że **totalitarny system może generować swoją „antysystemową” opozycję**, dzięki czemu władza Partii zyskuje kontrolę także nad tymi obywatelami, którym się naiwnie wydaje, iż możliwy jest jakiś szerszy sprzeciw wobec rządzących. Teza Orwella nie straciła nic na swej aktualności w czasach III RP.

Ktoś może się obruszyć, czytając powyższe akapity i stwierdzić, że może rzeczywiście pewne sprawy się w Polsce zbyt komplikowały (na wyboistej drodze przemian), lecz „ojcowie demokracji” *chcieli dobrze*. Ich zamiarem - kontynuowałby ten ktoś - nie było i nie mogło być uformowanie *niedemokratycznego* systemu, ani tym bardziej wprowadzenie jakiegoś „aksamitnego zamordyzmu”. Na pewno „ojcowie demokracji” do takich rozwiązań świadomie nie dążyli, stwierdziłby ten ktoś. Może, należałoby odrzec. Może faktycznie „reformatorzy” chcieli dobrze. Może jak najlepiej. Tylko, że **można**, owszem, **chcieć dobrze, ale też można tego, co się „dobrze chce”, nie zrobić dobrze**. Czyż nie? Ewangeliczne poznawanie „po owocach” odnosi się i do rządzących. A do tych z przeróżnych partii władzy w Polsce (zmieniających się miejscami w ramach co paroletnich cyrkulacji) szczególnie – po ćwierćwieczu „reform”. Czasem zresztą szary obywatel nie ma nic innego do „poznawania” w swej codziennej perspektywie bytowej, jak właśnie „owoce pracy rządzących” – te bowiem odczuwalne są przez niego na jego własnej skórze jako kolejne „nieuniknione koszty reform”.

Deklaracje dobrych chęci słychać z ust każdego *państwowca* (kto by zresztą ogłaszał wyborcom, że „chce” dla nich „źle”?) – realizacja jednak tych dobrych chęci bywa różna. Mówiąc obrazowo, a propos istoty „transformacji”, starego auta nie naprawia się przez jego lakierowanie (i nie trzeba być mechanikiem samochodowym, by to wiedzieć i rozumieć). Ktoś może rzec, iż reformowanie państwowości to zespół procesów niesamowicie trudnych – nie każdy potrafi im podołać, one mogą kogoś przerosnąć; a i nie ma ludzi nieomylnych. Bez wątplenia. Dlatego **dobrze byłoby wiedzieć, czy „ojcowie demokracji” mieli świadomość tego, iż nie do końca są w stanie podejmowanym zadaniom sprostać**. Tego wszak, zarówno przystępując do „okrągłostołowego paktu”, jak i do „pierwszej transformacji” za pomocą „kontraktowych wyborów”, z okienek telewizyjnych obywatelom otwarcie nie ogłaszali (szczególnie tej rzeszy „niedojrzałych do demokracji”). I nie ogłosili tego owi „ojcowie”, o ile pamiętam, *później*. Wprost przeciwnie – uznali, że „transformacja” *per saldo* się jak najbardziej udała. I 25 lat później, w 2014 r., obchodzono uroczyste jej jubileusz. („Beneficjenci przemian” mieli co świętować – ponuracy, których nękają windykatorzy, niekoniecznie.) Z tych zaś uśmiechniętych twarzy *państwowców* oraz ze wzajemnego, jubileuszowego poklepywania się po plecach przedstawicieli oligopolu rządzących, należałoby się domyśleć, że „ojcowie demokracji” wcale nie byli niewłaściwymi ludźmi na właściwych miejscach (nawet, jeśli by coś takiego głosili jacyś paranoicy). I za takich się bynajmniej po latach nie uważają. Piszą opasłe wspomnieniowe książki, kiwając w nich z zadumą głowami nad tym, jak zrazu było ciężko, piekielnie ciężko, potem zaś stopniowo zaczęło wschodzić słońce nad krainą obozowej szarówki i biedy. A po wyjściu ludzi z baraków zaczęła się dla obywateli **przebudowa taka, że za jej symboliczne uwieńczenie można uznać stołeczne strzeliste szklane wieżowce**. Już nie szklane domy z przedwojennej literackiej wizji S. Żeromskiego, ale od razu lśniące, majestatyczne, XXI-wieczne drapacze chmur (tak wysokie prawie, jak stalinowski Pałac Kultury i Nauki). Tak bowiem Pana Boga za nogi złapała „transformacja”. To, że nieszczęśnicy, których „transformacja”, by tak rzec, puściła z torbami, tzn. nie wykazali się dostateczną przedsiębiorczością, mogą sobie szklane drapacze pooglądać z trotuaru lub zza szyby tramwajowej, powinno się traktować jako memento, że milionerów na świecie zawsze jest od pucybutów mniej. Dużo mniej.

Zakładając jednak nawet spokojnie, że uruchamiający na przełomie I. 80./90. po ojcowsku „robotę gospodarską” (niezapomniane: *jesteśmy w swoim domu* – skierowane do Polaków jako swoisty imperatyw moralny „transformacji”), naprawdę *chcieli dobrze* z „historycznymi przemianami ustrojowymi” i może sądzili, że *będzie dobrze* – to wszelkie działania ludzkie (także te w obszarze polityki) można podzielić na dwie podstawowe grupy. Na działania zachodzące według jakiegoś opracowanego planu, który skrupulatnie przewiduje jakieś ich konsekwencje oraz uwzględnia wariantywność postępowania²¹ – i na takie nie w pełni zaplanowane, wykorzystujące metodę „prób i błędów” („wyjdzie, nie wyjdzie”, „zaczniemy, potem się zobaczy, jak idzie”). Wprawdzie przysłowie powiada, że próba nie strzelba, lecz **w przypadku wielkich eksperymentów społecznych każda próba może wywołać piorunujący i nieodwracalny efekt**. Dlaczego? Bo to eksperyment z udziałem zwykle milionów ludzi. Czym innym jest wrzucanie kija w mrowisko i obserwowanie reakcji tysięcy mrówek – czym innym natomiast decydowanie o losach milionów żywych osób (mieszkających z rodzinami po wsiach, miasteczkach, miastach), a mających swe konkretne potrzeby, trudności itd. – decydowanie za pomocą takich lub innych instytucjonalno-prawnych rozwiązań. Czym innym jest eksperymentowanie na zwierzętach, a czym innym na ludziach. Zwłaszcza jeśli ci ostatni nie biorą udziału w eksperymencie *dobrowolnie* – czyli nikt ich specjalnie nie pyta o zdanie²².

Ale może z „transformacją” to nie była metoda fuszerki typu „jakoś to będzie”? Może tak stawiając sprawę jedynie ułatwiamy sobie zadanie? Może jednak *był* plan? Wiele przecież wskazuje na to, że plan musiał być, gdyż sporo zmian przeprowadzano w metodyczny sposób (wiedząc co czym skutkuje). Należy poza tym mieć cały czas „z tyłu głowy” uprzywilejowaną i otraskaną z rządzeniem kastę *ancien regime’u*, która w planowaniu rozwiązań społeczno-politycznych potrafiła opracowywać ruchy po wojskowemu na wiele lat. Nie będzie chyba przesadne założenie, że po prostu jakiś **plan czerwonych realizowano w ramach „transformacji”, a nie niczyj inny**. Takie założenie tłumaczyłoby to, iż nagle się okazało, że do głównych zdobyczy „ustrojowych” w nowym państwie, obok uwłaszczenia nomenklatury, należą wspomniane już: „wolność obywatelska tak,

²¹ Przy założeniu, że wybieramy (rozumnie) najlepszą z możliwych metod działania, a nie najgorszą. To, że trzeba uwzględniać różne scenariusze (warianty) jest oczywiste szczególnie w sferze polityki (należy założyć, że): jeśli pojawią się takie a takie trudności, to zrobimy to a to; jeśli pojawią się inne problemy, to podejmujemy się tego a tego. W momencie przystępowania do realizacji jakiegoś planu, który *nie* przewiduje różnych scenariuszy („droga jednokierunkowa”), to w sytuacji „nieprzewidzianych trudności” pojawia się albo bezradność osób wprowadzających ten plan w życie, albo *improwizacja*, „łatanina” *ad hoc*, prowizorka.

²² „Bezalternatywność” konieczności przeprowadzenia „transformacji” wynikała – przynajmniej w optyce „ojców demokratyzacji” – stąd, że komunizm *należało* odrzucić i *chciano* odrzucić. Inaczej nie pojawiałyby się w peerelu cykliczne protesty Polaków i nie narastałoby obywatelskie nieposłuszeństwo wobec reżimu czerwonych. Na gruncie tego prawdziwego założenia wysnuto jednak fałszywy zupełnie wniosek, co do tego, że dla polskiej państwowości i polskiej wspólnoty narodowej **nie ma innej drogi wyjścia z sytuacji po komunizmie jak przez modyfikację systemu**. Innych wariantów nie brano pod uwagę jako „anarchistycznych”, „utopijnych”, „niewykonalnych” itp. Stąd też *planu zmian* (w tak wielkiej skali) polskiej wspólnoty *nie* przedstawiono – uznając, że obywatele mają zdać się na „ojców transformacji” jak dzieci zdają się na rodziców zabierających je na wakacje-niespodziankę. **Nie przeprowadzono żadnej poważnej społecznej debaty dotyczącej podwalin ustrojowych**. Co więcej, **nie zaproponowano** choćby – na czas „kontraktowych wyborów” z 1989 r. – **czegoś tak elementarnego, jak konstytucyjne referendum uwzględniające różne projekty możliwego przyszłego ustroju Polski**, pośród których obywatele mogliby dokonać pewnego wyboru i opowiedzieć się za taką lub inną formułą systemową (którą to formułą następnie realizowaliby parlamentarni przedstawiciele). Te dwa argumenty wystarczają, by mówić o „aksamitnym zamordyzmie”, jaki wprowadzono od pierwszych lat „demokratyzacji komunizmu” nad Wisłą.

ale..." oraz „katolicyzm, owszem, ale...", jak też „wolne media tak, ale...", „wolność słowa tak, ale..." – itd. Pytanie, czy „wielcy opozycjoniści” byli zrazu (w 1989 r.) tych szykujących się zdobywczy (rezultatów społecznego eksperymentu ze „zmianą systemu”) świadomi, czy nie – jest drugorzędne. Zwycięzcy piszą historię, jak wiemy. Trudno zaś nie dostrzec tego, jak skądinąd znajome z peerelu gęby wyłaniają się na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza jako „twarze transformacji” i zarazem „oblicza beneficjentów przemian” (obok facjat legendarnych opozycjonistów). Trudno to też uznać za zbieg okoliczności lub wypadek przy „reformatorskiej” pracy. Jeśli więc ktoś się „pisał na obywatelskiego reformatora”, to musiał brać pod uwagę to, *kto* właściwie jest *autorem* scenariusza państwowotwórczych działań. Wszystko wskazuje na to, że „planu” wcale nie napisali obywatele, mimo że ten „plan” *ich* wciągnięcie w nadwiślański spektakl „przewidywał” – wraz ze sfinansowaniem przez nich całego żenującego przedstawienia. Sfinansowaniem dla ich dobra, ma się rozumieć.

IV. **Aksamitny zamordyzm jako nowa (po peerelowskiej) lekcja „wychowania obywatelskiego” Polaków**

W polityce atoli nic nie dzieje się bez przyczyny i nawet rozwiązania wydające się obywatelom kompletnie absurdalnymi mają swe racjonalne podstawy. Ktoś je po coś wymyśla, wiążąc z nimi jakiś cel. Dokładnie tak, jak potiomkinowska rzeczywistość komunizmu (mimo że sprawiająca wrażenie bezgranicznego nonsensu społecznego) ma swój cel w postaci *pierekowki*, „przekuwania dusz”, tj. *tresowania obywateli do niewoli* (pardon, *wychowania* obywateli sowieckich) – tak i aksamitny zamordyzm ma swój cel realizowany przez społecznych inżynierów. O co tym razem chodzi? Znów o *wychowanie nowych obywateli*. Chciałoby się dodać optymistycznie: *polskich*, ale właśnie ta końcóweczka nie jest *obowiązkowa* (w socjotechnice „transformacji”) – obecna polska państwowość (programowo) *nie* wzmacnia polskiej wspólnoty narodowej. Nie wzmacnia, tylko ją dezintegruje, atomizuje, antagonizuje wewnętrznie – naśladując w ten sposób *modus operandi* komunistycznego systemu. **Partie władzy nieustannie nاپuszczają jednych Polaków na drugich i na tym polega od 25 lat prostacki „styl rządu” w III RP.** Styl skuteczny, ponieważ system oligarchiczny trzyma się świetnie i nie rysują się na horyzoncie żadne możliwości zmian. Już też zastępy intelektualistów, publicystów, autorytetów etc. przekonują nas (z emfazą nie mniejszą niż za czasów „bloku krajów demokracji ludowej”), że ten obecny stan to już „czasy ostateczne”²³, czasy postpolityki.

Skąd jednak ta pasja *pedagogiczna* u „ojców demokracji”? Nie mam na myśli „strony rządowej” – dla czerwonych bowiem „wychowanie obywatelskie” było sposobem zabezpieczania (danej przez Moskwę) władzy przed jej możliwą utratą. Czemu „strona społeczna” tak zapragnęła na nowo wychowywać polski naród? Czy była to tylko „podświadoma” fascynacja komunistycznym systemem z jego dyżurną zomowską pałką pilnującą porządku, czy też coś dodatkowego? Wydaje się, że tym czymś dodatkowym była pycha „opozycjonistów”, którzy swoje „wybranie” przypisywali nie tyle obywatelom i nie tyle dziejom, co... własnym znakomitym predyspozycjom do rządzenia. Innymi słowy, **ludzie ci uznali samych siebie za tak świetnych reprezentantów narodu, iż Polska już lepiej w**

²³ Ta retoryka ostatnio słabnie, odkąd się okazało, że parę dekad po „obaleniu komunizmu” i „upadku ZSSR” zaczynają się zapalać ogniska wojennego konfliktu we wschodniej Europie, ku rosnącemu zdumieniu rozmaitych pacyfistycznie nastrojonych postępowych intelektualistów (przekonanych, że to Kościół katolicki jest głównym wrogiem pokoju na Starym Kontynencie).

swej historii trafić nie mogła i nie trafiłaby. W ich własnych oczach to było jak rzadkie ustawienie się gwiazd w konstelacji na nieboskłonie – nad polską krainą. Stąd też moje eseistyczne określenie „ojcowie demokratyzacji”, mimo że szydercze, oddaje poniekąd ten megalomański stan rzeczy. „Ojcowie” przecież sami siebie namaścili na „zbawców Polski” i z tego samo-namaszczenia czerpali niezbędną „siłę do reform”, tudzież poczucie „nieomyślności” w, jakżeby inaczej, „podejmowaniu najtrudniejszych decyzji”. Namaścili się zatem na nowych „duszpasterzy”, którym obywatele muszą „zawierzyć” swój los, jakby „ojcowie” stanowili nie zwykłych, z krwi i kości, ludzi, ale kapłanów uspokajających nadprzyrodzonymi zdolnościami wielkie żywioły Historii. *Jesteśmy w swoim domu*, przypominali w 1989 r. – jak gospodarze, i jak ojcowie. *Co robić? Pomóż.* Wprawdzie w haśle tym pobrzmiwało echo gierkowskiego: *Pomóżecie?* (z „trudnego” początku lat 70. po „wydarzeniach grudniowych”), ale mało kto się takich nieładnych analogii doszukiwał. Nie było czasu na „ogłądanie się za siebie”, gdy Historia tak galopowała – czas naglił. Nie było też powodu ani tym bardziej **mało kto miał śmiałość, by pytać o... kompetencje tych, co się taką ławą szeroką na państwowe urzędy pchali.** A już na pewno nie było takich zuchwalców, co by „rękę na ojca” któregokolwiek podnieść chcieli. Ojciec bierze się do roboty, to i ty zakasuj, synu/córko, rękawy, zamiast stać jak kotek lub siedzieć w oddali jak niebieski ptak. Gdy jednak patrzy się z perspektywy 25 minionych lat na 35%-ową reprezentację „ojców” ze „strony społecznej” (do „kontraktowego sejmu”) i 100%-ową do senatu, to z rozkładem kompetencji do sprawowania jakichś wysokich urzędów państwowych było tam mniej więcej tak, jak z lekami homeopatycznymi i ich właściwościami uzdrowieńczymi. Jeśli jeszcze przypomnimy sobie, że po „4 czerwca” najwybitniejsi reprezentanci Polski wybrali od razu gen. W. Jaruzelskiego na prezydenta (peerelu, wtedy jeszcze nazwa państwa pozostała nie zmieniona), ten zaś desygnował z marszu gen. Cz. Kiszczaka na pierwszego premiera²⁴ (nim po jego nieudanej misji tworzenia rządu „tekę objął” niezapomniany T. Mazowiecki), to uzyskujemy „demokratyczny full wypas”, jeśli chodzi o falstart „transformacji”.

Ktoś powie: owszem, może zrazu kompetentnych niełatwo było znaleźć wśród „opozycjonistów” – ale gdzie ci ludzie mieli nabyć kompetencji, w peerelowskiej dyplomacji, w więzieniach, w halach fabrycznych? I w takim myśleniu ujawnia się to upowszechnione (przez „ojców demokratyzacji”) wśród polskich obywateli przekonanie, że „nie było alternatywy” dla sławnej „drużyny Wałęsy”. Innymi słowy, że Polacy w liczbie kilkudziesięciu milionów sami z siebie żadnych osób kompetentnych do rządzenia nie byli w stanie wtedy wyłonić. A tym samym *odgórny* przydział i rozdział władzy był nieunikniony. W taki stawianiu sprawy zapomina się jednak o tym, że „**opozycjoniści**” **wychodzili z graniczącego z pewnością założenia, iż - po prostu - należy im się władza.** Podkreślam i powtarzam: *im się należy władza* – im. (Niekoniecznie ta władza należy się przede wszystkim polskiej wspólnotie narodowej, która czterdzieści parę lat spędziła na orbicie czerwonej gwiazdy lub na emigracyjnym wygnaniu.) Tak więc *im się* bezwzględnie władza państwowa należy, bo *oni* „przesiedzieli swoje”²⁵, bo

²⁴ Por. <http://www.rp.pl/arttykul/153227,1140388-Szyfrogramy-dotyczace-rzadu-Tadeusza-Mazowieckiego-na-stronie-MSZ.html> i <https://www.ms.gov.pl/resource/be882e53-adbf-4efb-957b-42a684570111:JCR> Na marginesie, zauważmy, że dopiero 25 lat po publikowane są tego typu szyfrogramy. Pytanie, **kiedy zostaną opublikowane szyfrogramy z 10-04-2010** na przykład? Do kwestii 10 Kwietnia jeszcze w esejach dla *Bibuty* wrócę.

²⁵ Nie umniejszając skali cierpień nikomu, kto faktycznie zaznał uwięzienia i/lub innych represji za antykomunistyczną działalność, to wydaje się oczywiste, że **samo bycie prześladowanym nie daje kompetencji (osobie prześladowanej) do sprawowania politycznej władzy.** Podobnie to, że ktoś stał na czele strajku, nie znaczy, że może on stanąć na czele ministerstwa lub państwa. Do piastowania urzędu dana osoba musi

oni „przedyskutowali swoje”, bo „oprotestowali”, bo „wywalczyli”, bo „działali” etc. Tym samym to właśnie *opozycyjne życiorysy*, ale już nie *kompetencje* miały stanowić i de facto stanowiły *legitymację do rządu* u zarania „ustrojowej transformacji”. I tak też to *zahulało*.

Zaraz, ktoś może przerwać, nie każdy polityk musi mieć od razu profesorski tytuł. Niewątpliwie. Nie każdy. (W III RP można było widzieć wielu „profesorów”, szczególnie z porządnym marksistowsko-leninowskim rodowodem, którzy nigdy w *wolnym państwie* nie powinni pełnić żadnych odpowiedzialnych funkcji administracyjnych ani państwowych.) Kompetencje polityka nie polegają wszelako głównie na *wiedzy* (choć im ta jest większa, głębsza, rzetelniejsza, tym bardziej może się w zarządzaniu sprawami publicznymi przydać²⁶) – ale na poczuciu *służby* wspólnocie narodowej, służby rodakom, służby ich dobru. Jeśli zaś ktoś uważa, że mu się *władza należy*, gdyż np. życiorys daje mu tu legitymację – to z postawą kogoś, kto ma służyć rodakom, nie ma to nic wspólnego. **Uznanie przez kogoś, że władza się należy, świadczy raczej o tym, że to rodacy mają służyć temu państwowcowi, a nie odwrotnie.** Nie on więc ma słuchać obywateli, ale to oni mają wsłuchiwać się w jego donośny głos. Zresztą nawet w przypadku tych 35% „wolnych miejsc” w sejmie (i 100% w senacie) w 1989 r. *nie* dokonano jakichś, choćby skromnym sumptem, *prawyborów* (w zakładach, na uczelniach, w parafiach itd.), by *oddolnie* zostały wytypowane osoby na te dwie listy. Kandydatów po prostu „przywieziono” obywatelom poprzez *rozplakatowanie* na słupach, płotach i murach wizerunków osób, na które *trzeba* zagłosować, bo to *nasi* (dla których „nie ma alternatywy”, bo inaczej „marnuje się głos”). I koniec. A właściwie nie koniec. Tak już się potem utarło w III RP, że to „światło gremia” poszczególnych partii władzy podpowiadają co jakiś czas wyborcom, by nie musieli się głowić: *którzy są nasi*. To „gremia” te wskazują: na *których* głosowanie to „niestracony głos”. I tak się można bujać przez następne 25 lat.

Może ktoś jeszcze spytać: *to w takim razie nie należała się władza opozycji?* W odpowiedzi rzekłbym: jeśli już się *należała władza* komuś, to *należała się* ona przede wszystkim milionom Polaków, dzięki których zbiorowemu sprzeciwowi (i ofiarom), doszło do stopniowego słabnięcia komunistycznej sytuacji i jej systemu opresji. Takiego najprostszego rozwiązania (przekazania władzy samym Polakom) „okrągłostołowy pakt” jednak nie przewidywał. Mogłoby ono zachwiać delikatnym status quo „na górze”, a zwłaszcza zatrzymać proces uwłaszczania się najpierw czerwonej, a niedługo później różowej nomenklatury. Proces, by tak rzec, powiązany z *życiorysami* (i zasługami z tymi życiorysami związanymi) właśnie. **Filozofia „zaciskania pasa”** (zwana czasem „terapią szokową”, jakby

wykazywać się właśnie odpowiednimi zdolnościami, tak by umiała np. uczciwie ocenić pewien stan rzeczy, znaleźć rozwiązanie w sytuacji konfliktowej/kryzysowej, dokonywać analizy dokumentacji i samodzielnie podejmować decyzje itp. W przeciwnym razie, tj. jeśli na stanowisko trafia ktoś niekompetentny, to zaczynają nim rządzić inni, wykorzystując jego niewiedzę. Jeśli ktoś chciałby w tym miejscu spytać: to należało w 1989 r. pozostawić władzę komunistom? Niekoniecznie. Należało jednak, jeśli już się chciało wejść w „taktyczny układ”, stworzyć (maksymalnie uproszczone) warunki do *oddolnego*, demokratycznego wyłaniania się władzy, a nie wyłącznie do *odgórnego* jej instalowania.

²⁶ Stosownie do obszaru, którym dany polityk zawiaduje. Trudno, by sprawami edukacji na przykład zajmował się ktoś niezwiązany ze szkolnictwem i niemający o nim pojęcia (choć nietrudno o takie sytuacje w III RP, w czym znów można odnaleźć kolejne podobieństwo do peerelu, gdzie częstokroć celowo sadzano na stanowiskach baranów, by *utrudniali* życie obywatelom). Osobną sprawą jest to, na ile np. nauczyciel może efektywnie sprawować stanowisko ministra szkolnictwa.

przeprowadzano masowy eksperyment społeczny z dziedziny psychiatrii) bowiem **charakteryzowała się pewną metodyczną wybiórczością, tzn. nie wszystkie grupy społeczne i środowiska partycypowały równomiernie w „koniecznym ponoszeniu kosztów reform”**. Innymi słowy, niektóre *nie* partycypowały w ogóle. To jednak całkowicie rozumiałe. Przysłowie powiada wprawdzie, że szewc bez butów chodzi, niemniej „transformersi” bez butów nie mogli się na krajowych i międzynarodowych salonach prezentować. Jak by to wyglądało? Co by sąsiedzi z Berlina i Moskwy na takie bose stopy lub dziurawe obuwie powiedzieli?

Do tego więc, by oligopol rządzących, czyli konglomerat partii władzy (odgrywających na przemian role „rządowe” i „opozycyjne”) w III RP mógł bezpiecznie latami trwać i rosnąć w siłę (wszak rządzenie stało się celem samym w sobie dla państwowców), niezbędne było wychowanie obywatelskie. Za peerelu chowano Polaka na człowieka sowieckiego, toteż zaraz po „obaleniu komunizmu” nie wypadało wracać do bolszewickiej pedagogiki społecznej. Ale na ideologiczną próżnię „transformerzy” nie mogli sobie pozwolić, zwłaszcza że **jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać nad Wisłą najrozmaitsze instytucje demokratyczne**, wraz z demokratycznymi partiami, uniami, socjaldemokracjami itp. cudami niewidami, by nie rzec, *młynami* „transformacji”. Młynami, na których ścianach gdzieś niedługo jeszcze ślady po portretach Lenina widniały. Ze słowem *demokracja* na ustach każdy państwowiec budził się i zasypiał, jakby to był poranny i wieczorny krótki pacierz postępowca. Słowo to odmieniali też przez wszystkie przypadki (bez cienia ironii) wszyscy „proreformatorscy” intelektualiści i publicyści w prasie, radiu, telewizji (ważnym okiem od pierwszych dni „przemian” śledzący tych, co w *swoim domu* sypią piach w tryby „przemian”). Wychowanie obywatelskie w III RP musiało więc z tą oświeconą *demokracją* się nieodłącznie łączyć.

Zaczęto wychowywać Polaka na nowoczesnego obywatela, który cieszy się z tego, co ma – nawet, jeśli ma niewiele. Jeśli obywatel nie miał zbyt wiele, to powinien był się cieszyć z tego, że wnet będzie miał więcej. Potrzeba mu było cierpliwości, „transformacja” musiała potrwać, by *zadziałała*. „Wychodzenie z komunizmu” nie było łatwe – *nikt przed nami tego nie przerabiał*, dodawali „ojcowie demokracji”, co zarazem wzmacniało nastrój powagi wokół „historycznych przemian”. Ale też uciszało tych paranoików, co, nie znając się na ekonomii, krzywym okiem spoglądali na „reformy”, dopatrując się w nich jakiegoś np. „złodziejstwa na niebotyczną skalę”, „wyprzedaży majątku narodowego” i „miliardowych afer finansowych”, od których głowa robiła się mała. Głosy paranoików tonęły w harmidrze nadwiślańskiej przebudowy (jak krzyki niemogących zasnąć sąsiadów zagłuszane przez upojną zabawę w studenckim akademiku ciągnącą się do białego rana). Sami paranoicy zaś przypominali wagarowiczów gładzących na ławce parku, że szkoła jest głupia. Tymczasem nadwiślańska „szkoła demokracji” **wymagała i optymizmu, i entuzjazmu, i – co najważniejsze – obowiązkowej obecności na zajęciach z obywatelskiego wychowania**. W tej szkole zapewniano słuchaczy, że „to, co złe, minęło” i nie można przykładać dawnych kryteriów do nowej rzeczywistości. Nie można mówić „złodziejstwo”, „wyprzedaż”, „afery” – tam gdzie np. wprowadzane są „rozwiązania wolnorynkowe”. Na lekcjach takich uczono więc obywateli nazywania rzeczy po imieniu – po nowemu, nie po głupiemu. W klasach szkoły demokracji z roku na rok pojawiały się coraz nowocześniejsze telewizory, a wychowawcy, wskazując na nie obywatelom, zwracali uwagę, że w III RP środki masowego przekazu to już nie medium a la sowiecki buraczany *kołchoźnik* lub inny

zakładowy radiowęzeł (tudzież *megafon* uliczny podczas pierwszomajowego pochodu). Nie należało zatem traktować *wolnych mediów* jak staro-reżimowe szczekaczki. W dobie „transformacji” ujadać mogły jedynie peryferyjne „wrogie ośrodki” tych, co nie dojrżeli do demokracji. Nikt inny nie szczekał.

Wychowanie obywatelskie w III RP nie mogło i nie miało być jednak ani przez chwilę „sztuką dla sztuki”, nawet jeśli niejeden Polak przyglądał się mu z rosnącym osłupieniem. Przesłanie „ojców demokratyzacji” było od początku czytelne: *dobrze, że nas wybraliście i wybierajcie nas dalej, to będzie dobrze – na razie wprawdzie nie może być za dobrze, bo wdrazamy reformy, ale na pewno będzie dobrze, już niedługo*. Trzeba było obywateli przekonywać, że jest dobrze – już od pierwszych lat „przemian” – szczególnie jeśli mieli oni problem ze *rozumieniem* tego, że jest dobrze (bo np. nie było im jakoś za dobrze ani dobrze w ogóle). Wychowawcy obywateli musieli więc wyjaśniać łagodnie: *może nie jest jeszcze dobrze, ale wnet dobrze będzie, byleby nie psuć tego, co już zrobiono*. (No bo wiadomo, z raz rozpoczętych „reform” nie wypada z nauką do lasu znów iść.) Jednakże z czasem taka **formuła racjonalizowania „wypaczeń transformacji” okazała się niewystarczająca i trzeba było zwrócić uwagę obywatelom, że wina (za „wypaczenia”) może leżeć, niestety, także po ich stronie: źle robicie, dlatego nie jest dobrze. Może dobrze będzie, jak będziecie dobrze robić**. Chodziło głównie o „roszczeniowe postawy obywateli”, którym w nowej Polsce np. płace się nie podobały albo koszty życia. Albo też to, że *państwowcom* żyje się jakoś zupełnie inaczej niż szaremu zjadaczowi chleba.

Tu jednak Historia, wychodząca czasem rozmaitym wizjonerom naprzeciw, zesłała w końcu (w samą porę) państwowcom rozwiązanie wszystkich spiętrających się problemów „demokratyzacji”. Okazało się bowiem (co zgodnie poparły wszystkie partie władzy²⁷), że włączenie „transformowanej Polski” do unijnego superpaństwa sprawi, że już *będzie dobrze*. I obywatele, którzy chcieli przejść do „wyższej klasy” w szkole demokracji, musieli zdać kolejny „egzamin dojrzałości”. Jaki? Z ponownego poparcia wyrażonego dla „ojców przemian” mówiących niemalże: *jesteśmy w swoim europejskim domu*. Wychowawcy zgadzali się z obywatelami, że może *do tej pory nie było za dobrze, jakbyśmy wszyscy chcieli*, ale lada dzień, *po* (jak się potem okazało, nieuniknionej²⁸) *akcesji*... I tu zaczynała się jak babie lato rozsnuwać w fantazjach marzycieli-państwowców wizja rajskiego ogrodu, w którym Polak (już bardziej jako Europejczyk pełną gębą, nie zaściankowiec znad Wisły), jak za króla Sasa, je, pije i popuszcza pasa - i nawet nie musi patrzeć na żaden „koszt” takiego „reformowania”. Odwołano się wtedy – co rzadkie w tradycji „transformacji” – do „niezawodnego werdyktu obywateli” w postaci referendum. Przypominano im jednak wcześniej miesiącami, **jak powinni właściwie wybierać, by nie zmarnował się głos** i całe „współdecydowanie”. Gdy obywatele zagłosowali tak, jak wychowawcy chcieli, nastąpiły czasy mlekiem i miodem płynące dla państwowców i takowe nastąpiłyby niechybnie i

²⁷ Włącznie z komunistycznymi środowiskami, które kiedyś obrazami „zgniłego Zachodu” straszły dzieci po nocach. Akcesję do UE poparło także w dużej mierze polskie duchowieństwo, które obecnie (2014) „budzi się”, nie mogąc uwierzyć, że koszmar w postaci pochodu neomarksizmu i otwartej walki z rodziną, to kulturowa rzeczywistość współczesnej Polski. Tak **jakby tego wszystkiego nie dało się przewidzieć przed referendum akcesyjnym**. Kto dziś pamięta, jak niektórzy pasterze Kościoła zapewniali, iż Polska będzie... ewangelizować kraje UE? Mało kto zapewniał wtedy, że unijna biurokracja będzie ateizować Polskę.

²⁸ Alternatywy nie było znowu. To znaczy alternatywę widziano (w kręgach „ojców demokratyzacji” i inżynierów dusz) jako *Białoruś*.

dla obywateli (a że nastaną zaklinali się na wszystkie świętości „liderzy opinii”), dopóki nie okazało się – co znów ogłosili „ojcowie demokratyzacji” obywatelom – że... *dobrze nie może być, bo może dobrze robicie, ale za to wszyscy przeżywają kryzys międzynarodowy*. Koniec końców okazało się, że dobrze nie jest, bo zrobiło się nieco za duże zadłużenie i nawet nie wiadomo, co z emeryturami będzie dla obecnego pokolenia (nie mówiąc o przyszłym). A tak świetnie wszystko szło od wiosny 1989 r. Nowy wspaniały świat był o włos. Może jest nadal, tylko trzeba następnych 25 lat „reform”?

V. W platońskiej republice Potiomkina

„Ojcowie demokratyzacji” (tak „rządowa”, jak „społeczna” strona z 1989 r.) bali się polskiej samorządności, dlatego woleli *instalować władzę odgórnie*. Musieli wprowadzać „aksamitny zamordyzm”, gdyż nie sposób było bez *przekonania i przymuszenia* Polaków zacząć uruchamiać „reform”. Ale oprócz tego **zмирzano w ramach ustanawianego oligopolu do poważnego, strategicznego celu: do uzyskania przez rządzących podmiotowości politycznej**. Inaczej system oligarchiczny by się tak sprawnie nie ukonstytuował i nie zakonserwował. I jest to zdobycz ustrojowa oraz historyczna nie do pogardzenia, co widać od ćwierćwiecza. Luksus, jakich mało. Państwowość, trochę jak świat przyrody – nie znosi próżni. Jeśli więc wspólnocie narodowej podmiotowość się „nie należała” i nie została jej *de facto* przyznana, to ktoś inny musiał się stać podmiotem w nowej formule państwa. Warstwa rządzących, zmieniające się miejscami co parę lat partie władzy (wraz z barwną florą i fauną swego zaplecza Ignącego do konfitur i skarbów²⁹, jakie podczas *pełnienia urzędów* się odsłaniają) – to ów (zbiorowy) podmiot. Wspólnota narodowa zaś – jak za peerelu – traktowana jest *przedmiotowo*. Stąd państwowiec w III RP to nie zwykły urzędnik pełniący jakieś stanowisko. Przede wszystkim jest to ktoś, dla kogo szary obywatel to *petent*, którego sprawy można w okienku państwowca załatwić lub nie („nie da się”) i który powinien się wykazywać postawą pokory, jeśli chce, by cokolwiek zostało *rozpatrzone* – by nadano jego sprawie urzędowy bieg³⁰.

Obywatel to *petent*, podkreślam, a nie ktoś, kto miałby, nie daj Boże, sprawować jeszcze jakiś nadzór nad władzą, *pouczać* państwowca, jak co ma być/jak powinno być. Przykłady świadczące o takim właśnie *skorelowaniu* warstwy rządzących z warstwą rządzonych – skorelowaniu w postaci **absolutystycznej nadrzędności władzy nad obywatelami** – można mnożyć; podejrzewam, że każdy

²⁹ Prawdziwym marzeniem państwowca jest zostanie *super-państwowcem*, czyli wylądowanie na posadzie w unijnej Biurokracji (wielkie „B” nie jest tu literówką), np. w ekskluzywnym fotelu *europarlamentarzysty* zarabiającego „nieziemską kasę”.

³⁰ Jeśli komuś nasuwa się skojarzenie z peerelem, to nie jest ono do końca trafne. W peerelu istniała monopartia władzy i część obywateli „interweniowała” w „komitecie” takim lub innym, u takiego lub innego partyjniaka, by coś „załatwić” - po właściwym „posmarowaniu” sprawy (niezobowiązujący „prezent”). **Oligopol kilku partii władzy powoduje natomiast swoiste „rozproszenie się” ośrodków decyzyjnych – nawet na poziomie lokalnym**, co, naturalnie, potęguje chaos (w funkcjonowaniu instytucji państwa), a wywołuje dezorientację u rządzonych. Obywatel częstokroć nie dysponuje jasnym kryterium „do kogo iść”, by daną sprawę „załatwić”. Nawet bowiem gdy „załatwi u jednych” (przedstawiceli partii władzy - w terenie), to „drudzy” mogą sprawę „utrudnić” (bo akurat są w „opozycji”). Ten chaos – wbrew pozorom – ma sens (dla rządzących), bo tak jak w komunizmie **gros państwowców cały swój wysiłek koncentruje na rozwiązywaniu problemów, które sami stwarzają**. Państwowcy więc zapewniają sobie w ten sposób *robotę* na dziesięciolecia - dla całych pokoleń „reformatorów”. Może to świat jak z *Zamku* F. Kafki, ale niestety, my w nim egzystujemy. To się dzieje naprawdę.

znalazłby je, sięgając do własnego życiowego doświadczenia („użerania się z urzędasami”, zmagania się z takimi czy innymi instytucjami lub idiotycznymi „regulacjami prawnymi”, zarówno jeśli chodzi o „ustawy”, jak i lokalne przepisy). Absolutystyczna nadrzędność rządzących w stosunku do rządzonych to normalna cecha zamordyzmu. W takiej rzeczywistości politycznej władza zwyczajnie „nie widzi podstaw do sprzeciwu” po stronie obywateli. W praktyce rządzenia wygląda to tak, że rozwiązania „reformatorskie” czy „innowacyjne” są proponowane *bezalternatywnie* – obywatele mają się z nimi pogodzić i już, *ruki pa szwam*. Tak jakby rządzący to była wojskowa wierchuszka wydająca żołnierzom *rozkazy do wykonania*. I natura nadwiślańskiej oligarchii jest od 25 lat dokładnie taka: albo rządzeni przyjmują te rozwiązania państwowców dobrowolnie – albo zostają one wprowadzone z mniejszym lub większym instytucjonalnym przymusem, zaś krnąbrnych obywateli za niesubordynację (niestosowanie się do rozwiązań) spotykają odpowiednie *kary*³¹.

To *bezalternatywne* podejście do egzekwowania władzy (zapoczątkowane *bezalternatywnością „transformacji”*) weszło tak już w krew rządzącym, że karami straszą obywateli jeszcze zanim dana „reforma” czy „innowacja” wejdzie w życie – co w stylistyce przypomina pohukiwania czerwonych, którzy zawsze straszili na zapas, co to będzie, jak się czegoś nie zrobi lub nie będzie chciało robić. Tu rolę nie do przecenienia spełniają „ludzie mediów” **od początku „transformacji” każdy najbardziej nonsensowny „innowacyjny” projekt tej czy innej partii władzy potrafiący bronić zajadle przed „tępotą opornych obywateli” i też nieustannie straszący rządzonych**. Ci ostatni zaś, mimo upływu lat, nie dojrzewają jednak do demokracji, jakby ogarniał ich z czasem rodzaj demencji „transformacyjnej”. Co więcej, zaczynają po głupiemu (bo nie taka była umowa, zdaniem rządzących) usilnie szukać „dróg wyjścia”, „omijać przepisy”, „tworzyć szare strefy”, „zatrudniać/pracować na czarno”, „podwójnie księgować”, „ukrywać dochody”, słowem: *kombinować* jak za komuny, jeśli nie lepiej³². *Kombinować* właśnie. *Kombinować* – ku autentycznej zgrozie wszystkich państwowców i inżynierów dusz, bijących na alarm, jak to źli obywatele chcą – uwaga – oszukać państwo. Tak więc *oszukują państwo* owi obywatele niegodzący się z jakimiś uderzającymi w ich interesy rozwiązaniami – natomiast: *nie oszukują* obywateli wprowadzający na siłę te rozwiązania rządzący. Tak to hula machina państwowców III RP³³. *Taki klimat* nad Wisłą, można rzec, parafrazując słynne dictum jednej pani minister. Podmiotowość rządzących uzyskana zostaje więc etapowo (od pierwszych lat „transformacji”) i obecnie cechuje ją: 1) odizolowanie oligopolu partii władzy od rządzonych, 2) absolutystyczna nadrzędność tegoż oligopolu wobec obywateli, 3) „samo-rządność” partii władzy

³¹ Znakomitym świeżym przykładem jest głośna sprawa posyłania 6-latków do szkół. **Im większy opór stawiali rodzice wobec tego rozwiązania, tym bardziej nachalnie forsowali je państwowcy** – wszak państwowcy wiedzą, co dobre dla dziecka lepiej od jego rodziców (tak samo jak „transformersi” wiedzieli najlepiej, jak „zmieniać państwo”). Gdy w końcu rozwiązanie na choma wprowadzono, nie oglądając się na społeczne protesty, to rodzice zaczęli się „wymykać państwowcom” przez gremialne kursowanie do poradni psychologicznych po zaświadczenia pozwalające „przedłużyć” maluchom wiek przedszkolny. W odpowiedzi na to państwowcy zaczęli ścigać poradnie za wystawianie takich zaświadczeń, by i tę „służbę” obywatelom zamknąć.

³² *Kombinowanie* stanowi odpowiedź na rosnące koszty życia, to jasne, choć niekoniecznie dla państwowców, dla których koszty życia nie są zmurą codziennego dnia. Wyrazem *kombinowania* dla państwowców jest przrzucanie się większości użytkowników aut na LPG w ramach ucieczki przed chorymi cenami za benzynę. Państwowcy bowiem nie widzą możliwości obniżania cen paliw (te muszą nieustannie od 25 lat rosnąć – *inaczej się nie da*), toteż koncentrują się na walce z *kombinatorami*, poprzez podnoszenie akcyz itd.

³³ Ktoś mógłby spytać, ale dlaczego to hula, a nie stoi, jak peerelowska machina? W odpowiedzi należałoby rzec metaforycznie, iż kradzionym samochodem da się jechać. Poza tym Polacy, jako naród nieugięty, potrafią swą wspólnotę odtwarzać – jak od wieków dowodzi historia – nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach.

(rządzą się one własnymi prawami, zasilane pieniędzmi podatników), 4) narzucanie obywatelom, kogo mają wybierać do rządu, 5) stanie ponad prawem.

„Transformersi”, jak wcześniej wspomniałem, wykazali się już na starcie „przemian” pychą (samomianowalców) i odseparowali od rządzonych kordonem „sił porządkowych” i „ludzi mediów”. W ten też sposób jednak utracono 25 lat temu szansę na autentyczną (taką jak np. w okresie po I wojnie światowej) *modernizację* polskiego państwa i na szeroko zakrojoną kooperację Polaków zjednoczonych wokół wspólnego celu. **Nieuwzględnienie wspólnoty narodowej w planach przekształcania państwowości trudno zarazem potraktować jako przeoczenie.** Jeśliby nawet ktokolwiek z „ojców demokracji” tak był zapatrzony w siebie i swą „wizję przemian”, że nie był w stanie dostrzec wielomilionowej wspólnoty polskiej, to na pewno mógł usłyszeć jej głos, gdy latami protestowała przeciwko komunizmowi, gdy wytrwale modliła się wraz ze św. Janem Pawłem II o *zstąpienie Ducha* i gdy domagała się budowania nowego państwa na podstawach odmiennych niż peerelowskie. Odmiennych – nie takich samych. Polacy nie chcieli republiki Potiomkina, tylko nareszcie państwa z prawdziwym a nie fikcyjnym prawodawstwem (takim, które np. zbrodniarzy przeciw ludzkości doprowadza przed sąd i skazuje), z prawdziwymi mediami, a nie posowiecką inżynierią dusz, w ramach której „wychowaniu obywatelskiemu” nie ma końca, bo wciąż Polakom trzeba podpowiadać, co jak myśleć i jakimi być. Polacy mieli dość szkoły „demokracji socjalistycznej” i nie chcieli uczęszczać do „szkoły nowej demokracji”. Chcieli, by życie było *proste*. Bo to właśnie komunizm w tę prostotę ludzkiego życia uderzał z impetem bolszewickiego młota (czyniąc nawet zdobywanie pożywienia, ubrania i innych podstawowych dóbr niesłychanie zagmatwaną czynnością³⁴).

Czy naprawdę uczynienie Polakom życia *prostym* było w 1989 r. *niewykonalne*? Czy „ojcowie demokracji” nie mogli postawić sobie za zadanie: **uproszczenia jak największej ilości komunistycznych „regulacji prawnych” po kieracie peerelu – a nie ich udoskonalania**³⁵? Czy też im wcale *nie chodziło o to*, by życie Polaków maksymalnie uprościć? By zlikwidować onnipotencję władzy, by zmniejszyć diametralnie koszty życia, by umożliwić (na prawdziwie wolnorynkowych zasadach, a nie na rozdawaniu przywilejów nomenklaturowym wybrańcom) masowy start polskiej przedsiębiorczości i pracowitości. By odbiurokratyzować możliwie jak najwięcej sfer życia. By nie zmarnować czasu, który przez kilka dekad czerwoni zmarnowali. By słowa *praworządność, sprawiedliwość* nie były już frazesami. By rządzący wraz z „siłami porządkowymi” nie stanowili *państwa w państwie* – działającego jak tyran wobec ciemzonego ludu, tyran, którego trzeba się stale *bacć*³⁶, przed którym trzeba drzeć nocą i dniem, by nie przysłał swoich „egzekutorów prawa i porządku” – i czapkować pokornie, gdy tylko się pojawia – on lub *jego ludzie* – w zasięgu wzroku szarego obywatela. Czy nie można było po prostu dać Polakom *pełnej wolności*? Czy w ramach „polskiej demokracji” możliwe było jedynie *regulowanie* systemem *reglamentowania wolności*?

³⁴ Nie mówiąc o innych potrzebach człowieka.

³⁵ Proszę prześledzić np. losy „ustawy” *Prawo Prasowe*. Jej tekst „obowiązujący” w III RP to de facto *palimpsest* stworzony na podstawie „ustawy” peerelowskiego sejmu, nomen omen z 1984 r. Orwell tego by lepiej nie wymyślił.

³⁶ Pamiętamy z czasów komunistycznych, jak to wieczorami największy strach budziły patrole.

Pod koniec l. 80. „strona rządowa” potrzebowała „demokratycznej opozycji” (tak to się pięknie nazywało) przede wszystkim do tego, by na nią przerzucić część ciężaru władzy („podzielić się państwem”). Władzy, której ekipa czerwonych sama nie była w stanie dłużej utrzymać, by nie spotkał jej los *wiosennych liści*, że się tak wyrażę. „Opozycja” zaś, zwana też „konstruktywną”, Ignęła do władzy, przekonana, że nie tylko jej się *należy*, ale też, że prędko taka historyczna okazja może się nie powtórzyć³⁷. Zbiegły się interesy dwóch paktujących stron i jakby „zegary” zaczęły dla obu grup „graczy” równomiernie wybijać „za pięć dwunastą”. Czerwoni jednak stanowili graczy wytrawnych, zaprawionych w szulerce i blefowaniu, **podkręcając więc tempo gry, jawili się „stronie społecznej” jako ci, co słabną** (a nawet wyraźnie obawiają się przegranej), czując „oddech Historii” na karku. Być może z tego powodu zabrakło „opozycjonistom” czasu na dokładne przejrzenie zasad tej gry. O co się ona toczy, kto będzie wygranym, komu dostanie się nieco mniej, komu najmniej, a kto *odpadnie* – i z jakiego powodu *pula* tak, nie inaczej, zostanie podzielona. Może członkom strony „społecznej” już w wyobraźni układały się dalekosiężne plany fantastycznych „przemian” – i nie było już głowy do „wgrzania się w detale” albo szukania drugiego dna „transformacji”. Może więc rzeczywiście *chciano dobrze* – może w ogóle *nie chciano* żadnego, nawet aksamitnego, zamordyzmu. Faktem jednak jest, że taki zamordyzm obu „stronom” jakoś *wyszedł*.

Dlaczego wyszedł? Dlatego, że oligarchia jako ustrój, w którym tylko określone środowiska (warstwa rządzących) są *uprzywilejowane* – nie przewiduje *przywilejów* dla wszystkich. Oligarchia przez to, że bogactwa tworzone przez daną wspólnotę narodową, są *nieproporcjonalnie* rozlokowane, tzn. w zamożności i dobrobycie uczestniczą *nieliczni* („beneficjenci”), a nie większość obywateli, doprowadza do trwałego osłabienia wspólnoty narodowej. W tym też sensie **III RP to Isniąca replika peereleu**. To z kolei dodatkowo wskazuje na prawdziwych reżyserów tego Teatru Telewizji nad Wisłą, i spektaklu pt. *Demokratyzacja*³⁸.

Ale mimo to nadal „ślizgamy się po powierzchni” zjawisk, w ich opisie. W tym wszystkim jest jeszcze głębsza, *wojskowa*, można rzec, myśl. Wskazywałem już na to, że pośród różnych podobieństw między realiami III RP a tymi ludowej Polski, rzuca się w oczy *antagonizacja wewnątrzspołnotowa* Polaków jako sposób działania rządzących. Metodą trwałego skłócania Polaków posługiwali się czerwoni. Metodę tę stosują z powodzeniem partie władzy III RP („prawicowe”, „lewicowe”, „ludowe” i „centrowe”). W poprzednim eseju nadmieniłem również, że państwo może pełnić funkcje: 1) wzmacniania narodowej wspólnoty, jak też 2) wynarodowiania. Z historycznej perspektywy patrząc, metody, dzięki którym dochodziło do jakiegoś trwałego wynarodowiania Polaków, były różne

³⁷ Czerwoni ze swą ideologią *pieriestrojki* (z l. 80.) tradycyjnie posługiwali się metodą „gołębia i jastrzębia”, strasząc, że – owszem, gołębie chcą reformować komunizm, ale – za chwilę na Kreml mogą wrócić jastrzębie, którzy cały ten proces w „bloku krajów ludowej demokracji” zatrzymają, a nawet cofną. Tego typu argumentację można też było usłyszeć z ust przedstawicieli „opozycji konstruktywnej”.

³⁸ Nikt chyba nie próbował sobie do tej pory wyobrazić, czy/jak możliwa byłaby „transformacja ustrojowa” *bez* gigantycznej osłony/zapory medialnej. To zaś, że **oligopol władzy niejako „wymanował” z siebie od razu (potężny) oligopol na rynku medialnym**, dowodzi tego, jak fachowa ręka rozpisywała cały scenariusz tej teatralnej sztuki. Nie była pisana „na kolanie”. Tutaj nic nie działo się przypadkiem, nawet jeśli na zewnątrz „prezentowało się” jako „pełny spontan” lub *bajzel*.

– od kulturowych (germanizacja, rusyfikacja) po ludobójcze (okupacja, wywózki, eksterminacja, czystki etniczne³⁹). Stosowano też mieszaninę metod kulturowych i ludobójczych (sowietyzacja). I zauważmy: polska wspólnota narodowa potrafiła się przez wieki odradzać, mimo tak wielkich nakładów sił wrogich państw i narodów, które uważały, iż Polacy muszą *zniknąć*. Dostrzeżono więc gdzieś w końcu, że **polskiej wspólnoty narodowej nie da się niszczyć w żaden inny sposób, jak tylko przeciwstawiając Polaków Polakom**. W swej prostocie ta myśl jest „genialna” – w swych skutkach dla naszego narodu całkowicie destrukcyjna. Polacy mają się niszczyć własnymi siłami. W ten zaś sposób mogą nigdy nie odbudować porządnego, silnego państwa.

Ktoś powie, że „ojcom demokratyzacji” z pewnością nie chodziło o wynarodowienie i – by zacytować klasyka „transformacji” (który czerwonych miał *puścić w skarpetkach*) – *samo pomyślenie* [tego typu] *jest zbrodnią*. OK. Niewykluczone, iż np. „strona społeczna” takiego śmiałego celu sobie nie stawiała i nawet przez myśl jej coś tak zbrodniczego nie przeszło. Ale czy komunistyczna „strona rządowa” *również nie* celowała tak dokładnie, jeśli chodzi o „namierzanie” polskiej wspólnoty narodowej do odstrzału – to na tle historii peerelu i III RP wcale nie jest *przesądzona*. Wcale, powtarzam. Założmy jednak optymistycznie, że *obie* strony zasiadające do „okrągłego stołu” *nie* stawiały sobie aż tak niszczyielskiego celu, chcąc jak najlepiej dla Polaków. Może *układającym się* po prostu nie wyszło najlepiej z „transformacją” i – jak to się mówi w pewnych kręgach – *historia to oceni*. W takim więc razie **owe paktujące strony – mniej lub bardziej świadomie – stworzyły w 1989 r. i latach późniejszych warunki do realizacji takiego celu, udostępniając pole kulturowe do działań wynarodowiających**, poprzez pozbawienie *podmiotowości* polskich obywateli i skonstruowanie ustroju, w którym ci obywatele są *petentami* państwowców. Na szczęście, jak zaznaczałem w jednym z przypisów, polska wspólnota narodowa (co zarazem świadczy o jej niezwykłej sile) potrafi od wieków trwać i odtwarzać się nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach, toteż zatrzymanie (zapoczątkowanego za okupacji, następnie kontynuowanego za czasów komunistycznych i w III RP) procesu wewnętrznego skłócania Polaków może być zarazem drogą do odzyskania przez nas podmiotowości. Już bez pomocy jakichkolwiek „ojców demokratyzacji” tudzież „obywatelskich wychowawców” – i bez „egzaminów dojrzałości” organizowanych nam przez tę czy inną teatralną trupę państwowców. ■

Free Your Mind

[specjalnie dla *Bibuły*]

Opracowanie: *Bibula Information Service (B.I.S.)* - www.bibula.com - na podstawie [materiałów autorskich](#)

Aktualizacja: 2014-09-12 9:00 am

³⁹ Wołyń 1943 r. na przykład.